

Zimą rozwija się u mnie zazwyczaj tęsknota za ciepłymi klimatami i byczeniem się pod palmami. Już dawno temu przekonałem się, że tego typu marzenia można łatwo i tanio realizować. Lubię wyspiarskie klimaty, dlatego jak tylko trafiła się styczniowa okazja na tanie bilety lotnicze zafundowałem sobie majówkowy przelot najpierw na Majorcę, a wkrótce potem na Cypr.

Po mega odlotowym, koleżeńskim wypadzie na Baleary, intensywnym zwiedzaniu wysp oraz codziennych, wieczornych zabawach na Majorce, Ibizie i Minorce, chciałem znaleźć trochę spokoju na Cyprze. Ta „wyspa miłości” jako miejsce narodzin Afrodyty wydawała się do tego znakomita. Na dodatek wylądowałem w Larnace, której niegdysiejszy, najbardziej znamienity obywatel, niejaki Zenon z Kitionu był jednym z twórców stoicyzmu. Ach, właśnie stoickiego spokoju było mi teraz trzeba, chyba więc dobrze trafiłem.

Mój tani przelot Warszawa- Larnaka spokojnie skończył się o 3 w nocy. O tej porze nie było sensu z 30 kilowym bagażem włączyć się po mieście, a w hostelu mogłem zameldować się dopiero po 15.00 więc stoicko leżałem sobie na terminalowych krzeselkach na parterze próbując zasnąć. Nad ranem zebrałem się stamtąd, gdy coraz więcej ludzi zaczęło mnie sobie pokazywać palcem.

Z lotniska w Larnace autobusem miejskim do centrum miasta jedzie się jakieś 3 km płacąc 1 EU za bilet. Kierowca autobusu zatrzymał się specjalnie dla mnie przy samym hostelu, mimo, że do przystanku było jakieś 300 metrów. Miły gość. Jak się później wiele razy przekonałem, uprzejmość jest tutaj na porządku dziennym.

Póki co, stawiłem się niewyspany w hostelu z samego rana, po kilkugodzinnym koczowaniu na lotnisku. Chciałem zostawić w przechowalni swój bagaż i lżejszy o 30 kg udać się na pierwszy spacer po mieście. Miły pan z recepcji o imieniu Dimitris nie wziął ode mnie regulaminowych 2 EU za taką przysługę, co było całkiem miłe z jego strony. Później wiele razy rozmawialiśmy o sytuacji na Cyprze, polecał mi ciekawe miejsca i zostawiłem mu wiele zdjęć, którymi był żywo zainteresowany.

Miałem dość okrojony budżet po niedawnym, totalnym rozpasaniu na Majorce, więc musiałem oszczędnie gospodarować finansami i liczyć każde euro. Rezerwowany koszt przelotu w obie strony wyniósł niecałe 300 zł. Za 8 noclegów w EasyHotelu zapłaciłem z góry ok. 800 zł w pokoju dwuosobowym z łazienką, co na 1 osobę, gdybym miał współtowarzysza wyszłoby po 400 zł. Miałem ze sobą jedynie 250 EU na nurkowanie, jedzenie i przejazdy.

Pierwszy spacer po marinie i poznanie cen nurkowania upewniły mnie w przekonaniu, że tu sobie raczej nie poszaleję. Boss na plastikowym

krzeselku oferował nurkowania na wraku Zenobii w pakiecie jednodniowym za 100 EU! W tym 2 nurkowania i cały sprzęt. Gdy chciałem coś utargować, argumentując, że mam swój ekwipunek nurkowy on zszedł z ceny jedynie o 10EU. Co? To za taką kwotę ja mam dźwigać z Polski te 20 kg na plerach? Nie ma mowy. Szukam gdzie indziej. Opłaciło się. Już pięć kroków dalej ładna dziewczyna zaoferowała mi od razu telefoniczne negocjacje w sprawie nurkowania ze Szwedką prowadzącą Viking Diving Centre. Pomimo tego, że właścicielce centrum nurkowego było na imię Mina, to był zdecydowanie strzał w dziesiątkę. Za 140 EU zabukowałem sobie 2 dni i 4 nurkowania, na wraku Zenobia, w jaskiniach i na przylądku Greko. Gdy dotarłem potem do kolejnej bazy nurkowej koło przystani rybaków, okazało się, że ich ceny też oscylowały w granicach podanych przez gościa z mariny. Bez szału, ale wybrałem chyba, najlepszą, miejscową ofertę.

Miałem sporo czasu by pokręcić się trochę po Larnace. Najpierw plaża z ciemnym piaskiem, ale za to z kolorowymi parasolami. Potem promenada z palmami i straganami oraz po drugiej stronie kafejkami i restauracjami, reklamowana i trochę przypominająca francuskie Cannes, ale bez tego całego blichtru Dalej oczywiście spacer wzdłuż wybrzeża do portu, gdzie widok kolorowych łodzi wprowadził mnie w śródziemnomorski klimat. Stąd udałem się nad słone jezioro sprawdzić czy aby jakieś spóźnione flamingi jeszcze nie odleciały. Niestety nie spotkałem żadnego marudera, bo czerwonaki zbierają się tutaj setkami jedynie na zimę i wraz z wiosną odlatują Bóg wie gdzie. Po drugiej stronie jeziora stoi okazały meczet Hala Sultan, uznawana za najznamienitszą budowlę muzułmańską na Cyprze.

W drodze powrotnej znad słonego jeziora przypadkiem trafiłem na zaniedbany, muzułmański cmentarz. Popękane, pojedyncze nagrobki wśród wysokich traw robiły niesamowicie smutne wrażenie. Dalej, już w centrum miasta zatrzymałem się w małym parku z kościółkiem, gdzie po drzewach buszowały dość spore, przesympatyczne jaszczurki. Co rusz chowały się wśród gałęzi, by zaraz z ciekawością wyjrzeć na mnie, czy aby teleobiektywem nie zrobię im krzywdy.

Nie wiadomo kiedy zrobiła się pora obiadowa, czas by spróbować lokalnej kuchni. Gyros i miejscowe piwo KEO to całkiem dobry zestaw jak na pierwszy raz. Polecam tu szczególnie tawernę Tzitzikis w pobliżu posterunku policji w Larnace, wejście w podwórze za studium tatuażu. Za 2,50 EU można dostać szaszłyka z frytkami i sporą porcją sałatek oraz starter w postaci dodatkowego zestawu trzech surówek i przesmaczego pieczywa. Rodzinna atmosfera dodaje uroku temu miejscu. Tu nauczyłem się cypryjskiej gościnności. Magiczne słowa kalimera (witam) i efharisto (dziękuję) czynią cuda na całej wyspie. Jakoś jednak potem najedzony nagle przypomniałem sobie o kwaterunku, niewyspaniu, wygodnym łóżku w hotelu i prysznicu.

Spałem do południa, pewnie tylko dlatego, że obudziła mnie sprzątaczką. Gdyby nie ona, to może zerwałbym się dopiero na obiad. W końcu i tak nie miałem zbyt ambitnych planów na tę niedzielę 13-tego. Znów łąziłem po mieście szukając pozostałości starożytnego Kitionu, ale jedyne co udało mi się zobaczyć to sterty kamieni i wykopaliska.

W mieście jest za to kilka ciekawych zabytków sakralnych. Meczety i świątynie prawosławne stoją często tuż obok siebie, świadcząc o skomplikowanej historii wyspy. Najciekawszym z nich jest Sant Lazarus Church, w którego katakumbach pochowano niegdyś św. Łazarza, tego właśnie onegdaj wskrzeszonego przez Jezusa. Podobno po swym cudownym zmartwychwstaniu przybył na Cypr szerząc chrystusową wiarę dając sobie za dowód boskiej interwencji dzięki czemu wkrótce został biskupem. Obecna świątynia pod jego wezwaniem jest otwarta dla zwiedzających i o dziwo można w niej robić zdjęcia za darmo i z flaszem. Gotyckie wnętrza, ozdobne żyrandole, ikonostas i podziemne grobowce nadają się do tego znakomicie.

I tak zbliżał się wieczór dnia drugiego. Postanowiłem zobaczyć nocną iluminację akweduktu Kamaras, leżącego na przedmieściach Larnaki przy drodze na Limassol. Udałem się tam na piechotę, gdyż po 19.00 w niedzielę żaden lokalny autobus już nie jeździł. Po przespacerowaniu jakichś 5 kilometrów i małym zwątpieniu czy aby na pewno zaraz nie trafię na przedmieścia Limassolu, a nie pod akwedukt, ujrzałem w końcu z lewej strony drogi pięknie podświetlone przęsła dawnej budowli dostarczającej niegdyś miastu wodę. To według mnie jedna z największych atrakcji turystycznych Larnaki i warto tu dotrzeć właśnie po zmroku, gdyż w dzień nie widać jej całego, dostojnego piękna.

Kolejne dwa dni spędziłem w większości pod wodą, nurkując lub przygotowując się do nurkowania. Poznałem przy tej okazji trzech ciekawych nurków z Izraela. Jeden z nich, niejaki dentysta Amit, chwalił się nawet polskim paszportem i dziadkami z Łodzi, ale w mowie Tuwima umiał powiedzieć jedynie „dziękuję” i „do widzenia”. Jego koledzy to programista i bankier. Całkiem interesująca i rozgadana kompania. Niestety mieli bardzo zdecydowane poglądy na międzynarodową politykę, co skutecznie zniechęcało mnie do wypowiedzania się na wiele drażliwych tematów. Za to nasz nurkowy przewodnik Grek Tasos chętnie z nimi politykował, narzekając na Unię Europejską i globalną znieczulicę. Izraelici go skutecznie nakręcali, twierdząc, że oni by sobie nie pozwolili siedzieć na karku niejakiej Merkel. Na dodatek, gdy przejeżdżaliśmy na półwysep Greko przez teren brytyjskiej bazy otoczonej drutem kolczastym, Amit bez pardonu stwierdził, że w końcu czuje się bezpieczny. Nie wiem czy to był żart, w każdym bądź razie nikt się nie śmiał. Zaczęło mi brakować rozmów o dziewczynach i trunkach z kumplami na Majorce, albo chociaż życzliwego politykowania przy Smirnowie z gierojami z mojego niedawnego wypadu do Moskwy.

Tak się złożyło, że drugiego dnia nurkowego dołączyli do nas Szwed z dwiema córkami i... trzech skacowanych Rosjan. Nie wiedzieć czemu moi słowiańscy pobratymcy od razu przypadli mi do gustu. Ponoć mieli z nami nurkować już dnia poprzedniego, ale odwołali te zamiary i dotarli dopiero nazajutrz. To był temat na delikatne, poznawcze zapytanie. W odpowiedzi bez kozery stwierdzili, że nie dali rady wczoraj nurkować bo popili, a potem pobalowali z dziewczynami na mieście. Wot takie andrusy. Skończyłem u nich w hotelu wieczorem szkoląc rosyjski i pijąc za międzynarodowoju drużbu jak miesiąc temu, gdy byłem Moskwie. Dwóch Aleksych i Dimitr okazali się wysokimi urzędnikami spod Woroneża. Nie dość, że nie pozwolili mi dorzucić się do zakupów, to jeszcze odwieźli mnie taksówką do mojego hotelu płacąc za kurs, dźwigali moje torby ze sprzętem nurkowym i generalnie traktowali mnie jak jakiegoś ważnego, oficjalnego gościa, który obiecał do nich przyjechać. Za Polskę, Rosję i pokój na świecie wszyscy piliśmy na stojąco i bez zakuski. Za dziewczyny, kolejne spotkanie, fajne nurkowania i tego typu rzeczy piliśmy przegryzając „carskom ribkom” i przepijając ciepłą colą. To i tak lepiej niż w Moskwie, gdzie każdyj gieroj w hostelu pił wsjo bez zakuszania i bez popitki.

Lekko skacowany wstałem koło południa dnia następnego, zbudzony przez sprzątaczkę, która nie zważając na mnie wyrzucała śmieci i robiła porządki. Szybki, zimny prysznic postawił mnie na nogi. Przypomniałem sobie, że się umawialiśmy na dziesiątą z rosyjskimi drugami na spędzenie w słowiańskim stylu tym razem całego dnia, ale niestety - a może na szczęście - zasnęłem. Zresztą, szczerze powiedziawszy, dałem za wygraną, bo jak się pytałem Aleksieja co będziemy tego dnia robić, on powiedział, bym lepiej spytał czego nie będziemy robić. Mam chyba zbyt bujną wyobraźnię.

Zamiast tego postanowiłem zacząć realizować mój ambitny plan zwiedzenia całego Cypru. Tego dnia udałem się zatem do Limassolu i Pafos. Bilet całonocny na wszystkie autobusy na Cyprze, tym południowym oczywiście, to koszt 10 EU. Na terytorium Cypru Północnego obowiązują tureckie ceny i zasady. Też zamierzałem się tam udać kolejnego dnia. Póki co jednak dotarłem do Pafos z szybką przesiadką w deszczowym Limassolu. Pogoda tego dnia była cały czas pochmurna, co po niedawnych upałach, z jednej strony dawało trochę odświeżenia, a z drugiej nie zachęcało do tułaczki po wyspie. Chyba ten ruski plan na taką pogodę byłby lepszy.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W Pafos deszcz ustąpił, za to na niebie pozostały przeciekawie fotogeniczne chmury. Polecam każdemu spacer wzdłuż wybrzeża oczywiście od zamku przy porcie do latarni morskiej. Co jakiś czas można odsapnąć przysiadając na specjalnych, zadaszonych ławeczkach tuż nad samym morzem upajając się cudownym krajobrazem, potęgą i pięknem natury. Ach ten Zenon z Kitionu, chyba siedząc na takiej właśnie ławeczce nad brzegiem morza

tworzył swe podstawy stoicyzmu. Zapadłem w bezkresne oceany wszechrzeczy. Filozofując, zasiedziałem się tak, że na mój ostatni autobus powrotny do Limassolu musiałem żwawo biec nie zważając na wątki stanu ciała, niechciany efekt uboczny dnia poprzedniego. Kolejny raz zdążam dosłownie w ostatniej chwili. Szczęście po raz kolejny mi sprzyja.

Po drodze z Pafos do Limassolu mijamy miejsce narodzin Afrodyty. Niestety nie mam czasu, by tu zabawić na dłużej, a w maju znalazłem w rozkładzie jazdy tylko 3 autobusy dziennie. Podziwiam więc to mityczne miejsce jedynie z okien autokaru. W Limassolu jestem tuż przed zachodem słońca. Jadąc przez ciągnące się kilometrami wzdłuż drogi miasto, bez trudu można dostrzec, że główne zyski czerpie się tutaj z turystów spędzających wieczory w domach dla „gentlemenów”, gdzie rosyjskojęzycznych „afrodyt” jest bez liku.

Wysiadam w starym porcie, ale za Chiny Ludowe nie mogę znaleźć zejścia do morza. Okazuje się, że stary port był chyba już zbyt stary, bo ktoś zdecydował zamienić go na nowy i dzięki inwestycji, której wizualizacje widniały na metalowych ogrodzeniach miał być mariną w iście światowym stylu. W każdym bądź razie z dobry kilometr zrobiłem wzdłuż budowlanych balustrad, by ostatecznie dostać się nad brzeg. Kolorowe niebo odbijało się w lazurze morza, a w oddali widać było cumujące na redzie statki. Widok marzenie.

Wieczorem miasto na wysokości starego - a wkrótce nowoczesnego - portu zaczyna ożywać. Ludzie wysiadują w kawiarnianych ogródkach rozstawionych na środku uliczek i placów. Tego dnia frekwencja była spora, bo mnóstwo kibiców oglądało mecze cypryjskiej ligi, emocjonując się przy tym jakby to były co najmniej mistrzostwa Europy. Wracając na przystanek trafiłem też do sklepu z morskimi pamiątkami. Z przerażeniem oglądałem wycenione na kilka euro wydarte rafie koralowce, spreparowane ryby, rekiny i rozgwiazdy. Jasne, że można w europejskim kraju sprzedawać muszle, ale handel koralowcami powinien być zakazany. Rozumiem Egipcjan, którzy nie pozwalają wywieźć za granicę nic z takich rzeczy. Dlatego, mimo natłoku turystów i niszczenia morskiego środowiska naturalnego, Egipt pozostaje wciąż najpiękniejszym miejscem do nurkowania, a na Cyprze przy takiej polityce, niedługo będzie można nurkować jedynie na wrakach. Choć, gwoli prawdy, to rafy to ja tam pod wodą nigdzie nie widziałem, więc kto wie czy te koralowce na półkach sklepowych to nie jakiś przemyt z Egiptu właśnie.

A jeśli o polityce mowa. Na ogrodzeniach wokół modernizowanego portu w Limassolu zauważyłem plakaty nawołujące do bojkotu turystyki w Turcji, streszczające się do uproszczenia, że kto wykupuje wczasy w kraju Ataturka ten tym samym świadomie współfinansuje prześladowania Kurdów. Kolejnego dnia miałem się zmierzyć twarzą w twarz z jeszcze większymi

problemami politycznymi na Cyprze.

Rano wyruszyłem autobusem do podzielonej Nikozji. Stolica Cypru znana jest po obu stronach linii demarkacyjnej jako Lefkosja. Co więcej, należy znać także tureckie nazwy miast Cypru Północnego, bo taka na przykład Kyrenia, to według nich Girne. Próżno więc szukać na przystankach busików z tabliczkami Nikosja - Kyrenia, ale można znaleźć Lefkosja - Girne.

Nikozja leży od Larnaki niecałe 50 kilometrów. Bilet w obie strony kosztuje 5 EU. Od razu po wysiadce kieruję się w kierunku Ledra Palace, gdzie jest przejście graniczne do północnej części miasta, kontrolowanej przez Turków. Na poznanie południowej części miasta zostanie mi czas po powrocie z Kyrenii, gdzie zamierzam spędzić większość dnia. Cypryjski celnik tylko zerka na mój polski paszport i pozwala mi iść dalej. Wokół jego stróżówki rzucają się w oczy propagandowe tablice ze zdjęciami ofiar tureckich represji. Tuż obok wiszą banery ze wizerunkami cypryjskich bohaterów z czasów walk o niepodległość, w tym dość kontrowersyjnego Grivasa. Nie wiem czy to kogoś przekonało do zawrócenia z granicy, po której przekroczeniu kilkaset metrów idzie się strefą buforową pod egidą ONZ, ale nie ma tu żadnego posterunku, jedynie tablice o zakazie fotografowania i śmiecenia. Turecki celnik wystawia mi bezpłatną wizę na 90 dni pobytu na oddzielnej kartce i z uśmiechem na ustach życzy miłego dnia.

Po tureckiej stronie, wbrew temu co czytałem w przewodnikach, nie widzę żadnej propagandy, jedynie flagi narodowe. Napotykam też kilka przecznic dalej pomnik pamiętnego z Istambułu, wszechobecnego Ataturka. Wsiadam do busika jadącego do „klejnotu północnego Cypru”, czyli Kyrenii, płacąc 4 EU w obie strony, choć oficjalną walutą jest tutaj jedynie turecka lira. Co ciekawe, biletów nie sprzedaje kierowca, a jedynie kontroler co wsiada na któryś z kolejnych przystanków po drodze. Po co zatem kontrola, skoro można u niego takowy bilet po prostu kupić? Z okien autokaru widzę, na jednym ze wzgórz olbrzymią turecką flagę ułożoną z białych kamieni, jednoznacznie informującą o tym gdzie jesteśmy.

Sama Kyrenia jest pięknie położona między górami a morzem. Niestety miasto wygląda na zaniedbane. Istnieją tu, co prawda, liczne kasyna, hotele i parę restauracji, ale reszta infrastruktury pozostawia wiele do życzenia. Nawet znalezione przeze mnie w Internecie centrum nurkowe przy porcie jest zamknięte, choć nadal widnieją jego reklamowe witryny, ale w środku przez brudne szyby widać jedynie pustostan i śmietnik. Nazbyt dużo miejsc i obiektów w takim stanie można tu znaleźć. Ogólnie Kyrenia rozczarowuje. Zamek i port to niewiele jak na tak reklamowany kurort. Razi też brak plaży, którą zastępują hotelowe baseny lub sztuczne betonowe zatoczki. Pocieszam się w jednej z restauracji, gdzie za 20 TL pałaszuję omleta z serem haloumi popijając

piwem Efes i ayranem, czyli tureckim kefirem. Widziałem na straganie widokówkę z Karavas z pięknym wybrzeżem i żółtym piaskiem, więc może w tych mniejszych miejscowościach na północy Cypru można znaleźć folderowe widoczki. W każdym bądź razie do samego Girne nie ma po co wracać, chyba tylko po to by zobaczyć zachód słońca nad morzem. To właśnie przewaga północy wyspy nad południową, że na wybrzeżu można tu podziwiać wieczorem niezapomniane widoki, gdy słońce wraz ze swym całym zachodzącym kolorytem kładzie się na wodzie.

Ruszam z powrotem do Nikozji. Gdy spaceruję wieczorem po północnej części miasta, zamiast jakichś inwestycji widzę raczej rozkładający się miejski organizm z niewielkim wysiłkiem utrzymywany przy życiu. Flagi i pomniki Ataturka to chyba za mało, by tu przyciągnąć nowych osadników z Turcji i zatrzymać resztę najbardziej zdeterminowanych mieszkańców. Bez nich miasto samo wkrótce zamieni się w widmo. Z kolei w południowej części widać dźwigi, co znaczy wyraźnie, że coś się buduje. Zaczęto też modernizować, oczywiście z funduszy unijnych, pierwsze bastiony i tereny wokół nich.

Turcy nie dadzą w tym konflikcie zapewne za wygraną, ale widać, że po 40 latach od podziału kraju traktują terytorium Północnego Cypru jako teren okupowany właśnie, jak to na każdym kroku można przeczytać na Południu. Na ścianach południowej Nikozji wciąż widać hasła „Enosis” idei przyłączenia Cypru do Grecji, czy obrazki skrzyżowanych karabinów. Nie wiem czy czasem nie te właśnie dobitnie pokazywane przez południowców nastroje, a czasem wręcz przygraniczne prowokacje nie stoją na przeszkodzie do porozumienia i zjednoczenia kraju, bo Turcy chyba wydają się już zmęczeni taką sytuacją i być może byliby skłonni do znalezienia jakiegoś kompromisu. Póki co nic się nie zmienia, a wyblakła flaga ONZ na Ledra Palace symbolicznie odzwierciedla obecną sytuację.

Chyba za dużo mi po głowie chodziło tego dnia, a dodatkowo zapatrzyłem się na przechadzającego się za kratkami kota, co jakoś zadziało na mnie bardzo sugestywnie. Natyle, by się zagapić i... skręcić sobie nogę w kostce. Ruskie poty mnie oblały, ale dzielnie kuśtykając dotarłem do powrotnego autokaru do Larnaki. Jutro chyba w planie będzie moczenie mojego opuchniętego kulasa w słonej, morskiej wodzie w ramach rehabilitacji.

Rano stopa opuchnięta, a kostka cała kolorowa. Nie będę przecież siedział pozostałe dni w hotelu. Utykając człapię na przystanek busa, by pojechać do Aya Napy. Może tam na słynnej plaży Nissi Beach trochę wydobrzeję. Czekać na przyjazd autokaru moczę nogę w fontannie. Zimna woda pomaga. Dojazd do Aya Napa z Larnaki to jakieś 50 km, ale bus linii 711 firmy Osea zatrzymuje się na dziesiątkach przystanków po drodze, więc podróż trwa jakieś 1,5 godziny.

Warto tutaj opisać też system transportu na Cyprze, bo nie każdego stać na wynajęcie auta za 30-40 EU za dzień plus koszt paliwa. Państwowymi autobusami Zenon i Osea można podróżować na każdej trasie dosłownie za 1 EU, przy czym firmy te obsługują rejon Larnaki i dojeżdżają do wschodnio-południowego wybrzeża, takich jak Aya Napa, Protaras, Paralimni czy Deryneia. Bilet na cały dzień w autobusach każdej z firm kosztuje 3 EU, dzięki czemu za te pieniądze można pojeździć sobie po całym okręgu czyli jakieś 1/5 wyspy. W autobusach Intercity średni koszt biletu w jedną stronę wynosi 3 EU i za takie pieniądze można dojechać ekspresem do Nikozji, Aya Napa czy Limassolu. Dzienny bilet na wszystkie autobusy to 10 EU. W innych rejonach kursują różne lokalne firmy przewozowe, które mają podobne cenniki, do tych z Larnaki.

Rozkłady jazdy można znaleźć praktycznie tylko na początkowych lub ważniejszych przystankach. Gdzie indziej trzeba zdać się na łut szczęścia, że coś niedługo nadjedzie. Należy przy tym uważać, na fakt, że jeżeli na przykład na przystanku przy plaży w Larnace na dużej tablicy widnieją rozkłady jazdy firmy Zenon, to nie znaczy że wszystkie wymienione w nim autobusy zatrzymują się właśnie tutaj. Czekałem tak raz ponad 2 godziny na pojazd do Voroklini i dopiero po takim czasie moje bystre oczy dostrzegły, że z kolei na małej, żółtej tabliczce z wykazem numerów linii umieszczonej pod piktogramem autobusu nie ma akurat tego, który jedzie w moją stronę. Mimo, że jest podana jego czasówka to odjeżdża z kompletnie innego przystanku, w pobliżu komendy policji. Nauczony tym doświadczeniem zawsze zerkałem na żółte tabliczki z numerami, ale z kolei w rejonie przylądka Kitii na przystankach nie było numeru autobusu, którym tam dojechałem i wróciłem.

Co ciekawe kierowcy potrafią się nie zatrzymywać na przystanku jeśli im nie dasz wyraźnie znać machając ręką. Gdy sobie spokojnie siedziałem na przystankowej ławeczce przeglądając zdjęcia w aparacie czy czytając przewodnik, uciekło mi przez to parę razy kilka autobusów. Normalne jest też zatrzymywanie się kierowców na stacjach benzynowych by zatankować, przy sklepie by kupić papierosy lub w umówionych miejscach by kupić świeże ryby.

Tak rozmyślając sobie o podróżowaniu autobusami po Cyprze dojechałem do Aya Napy. Nissi Bay to najpiękniejsza zatoka do plażowania i kąpieli na wyspie jaką widziałem. Lazurowa, ciepła woda i bielutki piasek to jej niewątpliwe atuty. W maju nie było też tłoków na plaży. Gdzie jak gdzie, ale tutaj na pewno warto przyjechać, by się poczuć na wakacjach z prawdziwego zdarzenia. Słona, morska woda od razu mi pomogła też na opuchliznę stopy na tyle, że przestałem kuśtykać. Po przyjemnym plażowaniu i kąpieli, ruszyłem na spacer wzdłuż wybrzeża w kierunku odległego przylądka Greko. Ze skręconą kostką przeszedłem jakieś z 5-6 km, aż do jaskiń i naturalnego łuku skalnego. Po drodze



czekały na mnie zachwycające widoki na skalne wybrzeże i lazur morza. Pewnie tego wieczora poszedłbym i dalej, gdyby nie konieczność dotarcia na przystanek na ostatni autobus do Larnaki.

W sobotę rano pojechałem znów do Aya Napa, której wybrzeżem się zachwyciłem do tego stopnia, że chciałem przejść kolejny jego odcinek. Przy czym już wiedziałem, że by mieć blisko do jaskiń i łuku trzeba wysiąść przy Hotelu Marina ze 2 kilometry na wschód od centrum miasta. Przywykłem już do bólu w kostce więc żwawo ruszyłem w kierunku przylądka Greko, do którego wczoraj nie doszedłem. Warto było. Polecam spacer wzdłuż tego odcinka wybrzeża każdemu. Widoki i oddech morza wynagradzają trud marszu.

Spod Cape Greko pojechałem do Protaras, ale oprócz reklamowanej, choć w porównaniu do Nissi Bay, dość przeciętnej Zatoki Figowców, nie ma tam zbyt wiele do oglądania. Niestety tym razem nie zdażyłem na ostatni, powrotny autobus. Tak to ze szczęściem bywa, raz jest, innym razem go ubywa.

Nikt nie chciał zabrać mnie na stopa, a wszystkie autobusy, nawet te Intercity zakończyły już swoje kursy, bo to akurat sobota i trzeba się liczyć z tym, że po 17.00 nic nie jeździ oprócz lokalnego transportu. Za jedyne pieniądze jakie miałem przy sobie, czyli 30 EU, taksówkarz podrzucił mnie na przedmieścia Larnaki, pod znajomy hotel Golden Bay, gdzie onegdaj poznawałem się bliżej z Rosjanami. Czekając na busa spotkałem sympatyczną, młodą Rosjankę, która niestety jechała do Aya Napy. Gdy ją uświadomiłem, że o tej porze zostaje jej tylko taxi, stwierdziła, że to nie dla niej nie problem, bo musi się dostać do znajomych. Niestety stała po niewłaściwej stronie ulicy i musiałem ją poinformować, że na Cyprze obowiązuje ruch lewostronny. Uśmiechnęła się szeroko do mnie i przyznała się, że to jej pierwszy dzień tutaj i mimo, iż jest tourooperatorem to nie wie za wiele o wyspie i obowiązujących tu zasadach. Ciekawe jak tu trafiają te tłumy Rosjan, skoro mają taką kompetentną obsługę, chyba uśmiech i uroda im wystarczą.

O 10.00 wykwaterowanie z hotelu, ale oczywiście mogę przechować sobie bagaż. Mam cały dzień, bo samolot odlatuje właściwie dopiero w poniedziałek o 3.40. Może pojechałbym do Famagusty, ale recepcjonistka z hotelu poinformowała mnie, że żaden autobus tam nie jedzie, można tylko podjechać do Derynei i stamtąd przekroczyć check point w taksówce, bo piechotą jest to niemożliwe. Gdyby nie doświadczenia dnia poprzedniego, pewnie bym się tam wybrał, ale nie chciałem ryzykować spóźnienia na samolot, więc pojechałem zobaczyć kolejną latarnię morską, tym razem na przylądku Kiti. Spotkałem tam parę z Rumuni, która była zachwycona tamtejszą plażą. Wąski pas szarego piasku i kamienie. No chyba nie widzieli Nissi Beach. Odradzili mi wizytę w Perivolii, gdzie ponoć są tylko dwa kościoły i nic więcej, a tym

bardziej w Kiti, gdzie z kolei jest tylko jeden kościół. Polecali natomiast w okolicy Larnaki przeuroczą miejscowość na wzgórzu Voroklini, gdzie udałem się po południu. Niestety gust Rumunów i tym razem okazał się inny od mojego, bo Voroklini to jedynie zwykłe wille usiane pod wzgórzem. Jedynym ciekawym miejscem w okolicy jest jeziorko z ptactwem, położone nieopodal miasteczka.

Na koniec dnia odbyłem jeszcze wieczorny spacer po palmowej promenadzie w Larnace. Ostatnim autobusem dojeżdżam na lotnisko. Znów trochę nocnego koczowania na terminalu i po 3,5 godzinie lotu czeka mnie bolesny powrót do polskiej rzeczywistości.